NUMER 6. DNIA 11. LUTEGO 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

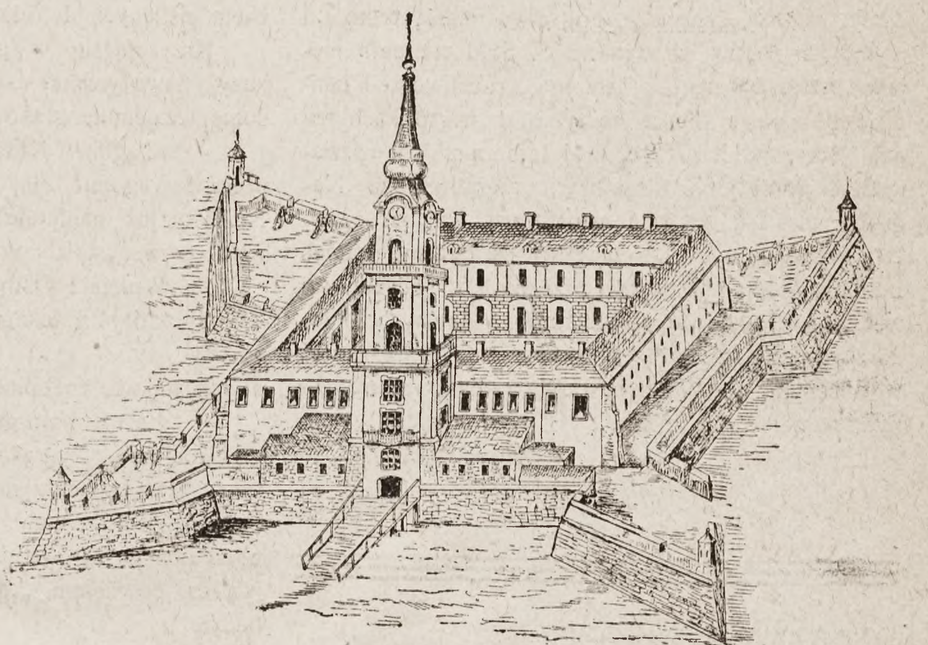
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z magnackich siedzib.

Siedziba ongi dumnych, a swawolnych do szczytu magnatów Lubomirskich, dzisiaj w sąd ze wszystkiemi jego więziennemi akcesorjami obrócona, ma to przynajmniej szczęście, że musiały się znaleść pieniądze na jej gruntowną restaurację. Dokonali jej kosztem miljona koron architekci pp. Hipolit Śliwiński i Rawski, z uwzględnieniem naturalnie obecnego przeznaczenia zamku, tak, że zamek Lubomirskich w Rzeszowie przestał jako taki istnieć, a jest tylko gmach rzeszowskiego sądu obwodowego z reminiscencją dawnej sadyby marszałkowskiej i hetmańskiej.

Rycina, którą obok umieszczamy, przedstawia zamek rzeszowski, w r. 1762 jeszcze jako własność i mieszkanie książąt Lubomirskich. Uwiecznił go w tym stanie piórem i akwarelą niejaki C. N. Wiedemann, kapitan wojsk Augusta III., jako część planu całego miasta ówczesnego, który to plan dotąd szczęśliwie przechował się w biurze sekretarza magistratu rzeszowskiego.

Jak widać z tej ryciny, zachował zamek rzeszowski do niedawna główne swoje zarysy. Był podobnie, jak w r. 1762 budynkiem jednopiętrowym, czworobocznym, z dziedzińcem pośrodku — tylko wieża była dawniej o wiele wyższa i ozdobiona foremnym szczytem, przed bramą był most zwodzony, połączony z rodzajem klatki wjazdowej. Most ten został później zniesiony a fosa w tem miejscu zasypana. Zresztą została ta fosa fortyfikacyjna, bardzo charakterystyczna, zachowana do dzisiaj i razem z kontraszkarpami, porosła trawą, daje całemu zamkowi dużo niedzisiejszego już uroku.



ZAMEK LUBOMIRSKICH W RZESZOWIE W R. 1762.

(Według kopji sporządzonej umyślnie dla „Tygodnia“.)

Sam budynek zamkowy otoczony jest murem ceglanym w kwadrat, którego węgły wybiegają w t. zw. kawaliery z wysmukłemi strażniczkami w charakterze architektonicznym. Każda z tych strażniczek, a raczej bastjonów, miała swojego patrona, którego postać wykuta w tarczy karteluszowej z napisem występowała na zewnątrz, jako niby straż i obrona.

Spodem wieży wchodzi się na plac zamkowy a stamtąd szerokimi, kamiénnymi schodami do sieni na piętrze, która była przed kaplicą pałacową dziś zniesioną, a której dach widnieje jeszcze na planie

z r. 1762. W tej kaplicy ufundował hetman Jerzy Ignacy Lubomirski w r. 1740 probostwo dla mieszkańców zamkowych.

Do niedawna zamek ogołocony ze wszystkich ozdób, wybielony na sposób koszarowy, przedstawiał się jako rudera, dziś tak gruntownie przerobiony, że zupełnie na nowo przebudowany, z zachowaniem dawnych form jeno, przedstawia się okazale i świetnie.

Początki zamku pochodzą od rodziny Ligęzów, dawnych dziedziców i panów miasta, a mianowicie od Mikołaja Ligęzy, który żył w pierwszej połowie siedmnastego wieku, a w dziejach Rzeszowa zapisał się jako wielki dobrodziej kościołów, klasztorów i szpitala tamtejszego. Córka jego wyszła za Jerzego Lubomirskiego, a stąd całe miasto i zamek przeszły do rodziny Lubomirskich.

Rzeszów należy do tych miast, których całe dzieje, rozwój, znaczenie, bogactwo zależą tylko od wybitnych rodów ich właścicieli. Stąd też cała niejako przeszłość tego prastarego, ruchliwego i handlowego miasta skupia się tylko w nagrobkach rodzin Rzeszowskich, Ligęzów i Lubomirskich, rozsianych w farze i po klasztorach rzeszowskich. Nagrobki te i ich wysoka artystyczna wartość zwróciły już dawno uwagę znawców, a obecnie zamek Lubomirskich odnowiony przekazywać będzie nawet w swej sądowej postaci imiona dawnych włodarzy miasta odległej potomności. Widok zamku w obecnym, odnowionym stanie, podamy w następnym numerze „Tygodnia“.

F. J.

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY. 1)

„Towarzyszka“ śmierci.

(Z CHWIL REWOLUCYJNYCH.)

I.

Pociągi wpadały jeden po drugim z dzikim zgiełkiem sygnałów, zmięszanych z jękami i przekleństwami ofiar i tych, co wieźli ofiary. Były to naprawdę smoki ogniste, wyrzucane z paszczy piekielnej, z wulkanu męki mukdeńskiej. Tuż poza nimi trzeszczały szyny gruchotane, wylatywały w powietrze stacje płonące. Gnane gromami potwory padały wreszcie bezwładnie u stóp małego budynku, wydając ostatnie tchnienia, obwijając się niby w całun śmiertelny, w białe łachmany pary, wyrzucając z siebie krwawe stosy rannych i konających.

Przybyły na stację przed kilku godzinami zaledwie świeży oddział sanitarny, ciśnięty nagle w samo piekło klęski, stracił na razie przytomność, jak młody pułk nowobrańców, na który spada piorunem cała moc nieprzyjacielska. Szczególnie tak zwane „doświadczone“, starsze siostry oddziału, przywykłe tylko do rzadkich rannych miejskiego pogotowia ratunkowego podczas pokoju, więcej jeszcze straciły głowy, niż młode ich koleżanki, którym każda ich czynność na wojnie musiała się zdawać czemś nadzwyczajnem; spodziewały się one tych „całkiem nowych“, strasznych rzeczy podczas długiej drogi, pełne piekącej ciekawości i energji nowicjatu. Zorjentowały się więc szybciej, łatwiej uległy nowym rozporządzeniom lekarzy, rzuciły się do krwawych brzemion, z nielitościwym pośpiechem ciskanych dokoła.

Krzyżują się w powietrzu jęki, krzyki i rozkazy, nawoływania schrypniętych, wymyślających sobie wzajemnie głosów:

— Ciągnij! Kładź tu zaraz bliziutko! Byle precz z wagonu! Hej żywo! Czy nie słyszycie? Nr. 5-ty już nadlatuje! Zmiażdży i ich do reszty, i nas tu wszystkich wraz z nimi!

— Wolniej! Ostrożnie wy, draby! — krzyczy w pasji któryś z lekarzy oddziału. — Toż nie worki wiórów, tylko żywi ludzie! Dorzniecie ich tu w swych łapach, rozbójnicy!

— Łatwo wam gadać, do stu djabłów! — odpowiada mu, wygrażając pięściami przy lokomotywie zziajany maszynista. — Nie zdążymy inaczej, choć pęknij! Za nami pędzą tuż, tuż jeszcze cztery takie pociągi! Powrotu niema! Trzeba dać drogę! Nalecą, powiadam, i gorsza w stokroć jeszcze kasza będzie.

— Och, siestrica, bolno! bolno do strasti... — wybucha nagle rozdzierający krzyk u stóp skostniałej siostry Tamary, gruzinki, która sama w tej chwili zdaje się być trafioną śmiertelnie, jak owa bajeczna gazela z legendarnemi oczyma; jej wielkie, promienne źrenice wyraźnie umierają, a krzyż czerwony, krwawiący pierś jej, zdaje się być głęboką, śmiertelną jej raną. Zmartwiała twarz jej tężeje, ręce zbielałe i drżące bezsilnie opadają wzdłuż ciała.

— Siestrica, bolno do strasti! — powtarza coraz to ciszej u stóp jej ten sam, gasnący głos, — słyszy go ona dlatego tylko, że widzi usta, które go wydają i oczy, które mówią to samo, tkwiąc nieruchomo w jej oczach...

Budzi się wreszcie ze swego osłupienia, przytomnieje, zaczyna kombinować. Rzuca się naprzód, chwyta za rękaw jednego z sanitarjuszów, zatrzymuje biegnącego felczera.

— Tu! tu! Zabierzcie tego rannego, na miłość boską! — woła do nich jakimś cudzym, głuchym głosem.

Sanitarjusz wyrywa się jej brutalnie, wskazawszy głową na oficera, zataczającego się przy stopniach wagonu, pomimo podtrzymujących go z obu stron rąk. Felczer niechętnie ustępuje, pociągnięty przez nią z nieświadomą siłą, pochyla się nad leżącym żołnierzem, potem niedbale macha ręką i krzyczy tuż prawie nad samem jego uchem:

— Da Boh s nim! Czego pani chcesz odemnie?! Tu już i dla popa robota spóźniona.

W tem ciele nieruchomem ruchome dotąd tylko usta i oczy potwierdzają te słowa. Z ust wydobywa się rzężenie, oczy zataczają się w górę, coraz to głębiej pod czoło, pod brwi skrwawione... Jeden jeszcze nagły rzut ciała — i oto już tajemnicza kresa odcina krzyk życia od ciszy śmierci.

. . . .

Od tej chwili, gdy ów pierwszy tak daremnie przywołał ją do siebie, przywołał on też ją raz na zawsze do wszystkich sobie podobnych. Biegła pierwsza do tych beznadziejnych, których już inni ratować nie chcieli, nie mogąc dać im życia; dla resztek cudzego życia nie mieli czasu ci ludzie, co i tak upadali pod ciężarem bardziej „celowej“ pracy.

— Poprostu nie mamy czasu na „grzebanie z honorami i czułościami“ — odparł pewnego razu z niecierpliwością na prośby jej i wyrzuty starszy chirurg oddziału. Pozostawiamy pani i innej duszy jakiejś zbyt tkliwej rolę anioła śmierci.

I stała się nim naprawdę.

Dążyła tu na wojnę, by nieść pomoc swym ziomkom, swym ziomkom tylko, wciągniętym do niej przemocą. Ani celom i idejom tej wojny, ani narzędziom jej od jenerała do żołnierza, których na razie w zaślepieniu żalu do jednej zaliczała kategorji — służyć nie miała zamiaru. Śpieszyła więc z tym obcym dla niej oddziałem krzyża do tego punktu, w którym byli dalecy jej krewni, wielu współziomków.

Przy pierwszem jednak spotkaniu z ofiarami boju stała się nagle kosmopolitką miłosierdzia — i przestała rozpaczać, że Japończycy zamknęli przed nią drogę do swoich. Wszystkie myśli i uczucia pierzchnęły nagle z jej duszy — miała tylko oczy do patrzenia i zręczne, silne ręce do opatrunków i dźwigania ciężkich kłód ludzkich. Usiłując łagodzić ból fizyczny i znieczulać w granicach możności śmiertelne rany, zanim śmierć stawiała się jej na zmianę, łowiła żądnem uchem ostatnie prośby, rozkazy, skargi, polecenia, ostatnie jęki, ostatnie westchnienia ulgi.

I na początku, zanim siły jej nie zwątlały i apatja zawodowa nie przymgliła jej czucia, ze strachem przesądnym prawie i z żądzą zdarcia zasłony mistycznej „z innego świata“ czytała w mowie tej, w oczach tych zwolna lub nagle gasnących nieznane dziwy „wieczności“...

I były chwile, gdy jej się zdawało, że przez wązką, złotą szczelinę-błyskawicę nagle otwieranych dla nich i zamykających się za nimi podwoi ogląda promień nieśmiertelności. Ale były i takie chwile, coraz częstsze, że widziała przed nimi dół tylko czarny niewinnego skazańca pod słupem bezrozumnej kaźni.

Instynkt odgadywania zbliżającej się śmierci zaostrzał się w niej i potęgował z dniem każdym — i wkrótce stała się prawie nieomylną wyrocznią na tem polu.

Gdy wychodziła pewnego dnia na peron z nieco wyciągniętą, trochę za długą i za cienką już szyją, z błyszczącemi ponuro, zapadłemi oczami, na spotkanie nowego transportu rannych, student medyk, pracujący przy ambulansie, sarknął tuż przy niej półgłosem:

— Już wietrzy trupy ta czarna hyena gruzińska!

Drgnęła, jakby smagnięta biczem, obróciła się i spojrzała nań ze wzgardliwą nienawiścią. Spojrzenie to, jedyna jej odpowiedź, zawstydziło go; ale nie myślał jej przeprosić. Odwrócił się zaczerwieniony i odszedł. Rad nawet był może, że „wstrętne to stworzenie usłyszało wreszcie prawdę“.

(C. d. n.)

STANISŁAW ELJASZ-RADZIKOWSKI.

W obronie polskiej mapy Tatr.

W ostatnim roczniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego (za r. 1904) pojawiła się ocena mapy Tatr, wydanej przez Towarzystwo Tatrzańskie przed dwoma laty. Niepodpisany autor oceny wyraża zdziwienie, że mapa ta co do nomenklatury nie trzyma się mapy wojskowej i że systematycznie zamieszcza tylko nazwy polskie.

Widocznie nie zdaje sobie autor sprawy, że mapa jest polska i w tym celu Towarzystwo Tatrzańskie, nie szczędząc kosztów i zabiegów ją wydało, aby raz dać w rękę naszym podróżnikom mapę Tatr polską i że nie miałoby chyba najmniejszego sensu, wydawać powtórnie mapę wojskową z nomenklaturą niemiecką albo też bałamutną. W dalszym ciągu zżyma się autor na nomenklaturę polską, podaje przykłady i dochodzi w końcu do wniosku, że wydaniem mapy kierowały tendencje polityczno-szowinistyczne! Zapytuje, coby na to powiedzieli polscy badacze i znawcy Tatr, gdyby spodobało



DO ARTYKUŁU: J. P. NORBLIN (SZTYCH).

się Towarzystwu Węgierskiemu nazwać Zakopane — Grabensdorf, Kościeliska — Kirchenau, Bukowinę — Buchwald, Kopę Królową — Königskuppe, Czerwony Wierch — Rotenberg, Świnicę — Eberfels, Zawrat — Schwindligjoch, Krzyżne — Kreutzberg i. t. d. Czyżby nie skarżyli się w takim razie na grabież narodową? I doradza nam, abyśmy szli za prawdą i słusznością, a nie uprawiali zapędów, dążących do wzbudzenia nienawiści narodowościowych! Na zarzuty owe możnaby wcale nie odpowiadać, zbyt są nierozsądne, aby je poważnie rozpatrywać. Jednakowoż przez to samo, że umieszcza je rocznik Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, a więc organ urzędowy towarzystwa, mającego pokrewne cele z naszem towarzystwem, i to towarzystwa, które utrzymuje przyjazne stosunki z naszem towarzystwem od początku jego istnienia — rzecz przedstawia się inaczej tem więcej, że artykuł jest niepodpisany. Wówczas odpowiedzialność zań spada na samo Węgierskie Towarzystwo Karpackie, które w roczniku swoim ocenę taką bez podpisu autora umieściło.

Tak, jak nie mamy nic przeciw zapowiedzianemu chrzczeniu Zakopanego na Grabensdorf, albo Świnicy na Eberfels, moglibyśmy spodziewać się łaskawości i pobłażania dla nazw polskich — gdyby je można było zrównać z nazwami tamtemi, na poczekaniu ukutemi. Tymczasem nazwy polskie, które się znajdują na mapie, wydanej przez Towarzystwo Tatrzańskie, nie są żadnymi wymysłami, ani bezpodstawnemi tłómaczeniami, ale są to nazwy istniejące, które z wielkim trudem i z nakładem mozolnej pracy zebrała komisja osobna, do której, oprócz piszącego te słowa należeli śp. Walery Eljasz Radzikowski i prof. Władysław Kulczyński.

Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że mapa polska i w tym głównie wydana celu, aby raz dostała się nomenklatura polska do dobrej, najnowszej pracy kartograficznej zakładu geograficznego wojskowego, — musiała zadanie to w całości podjąć i przeprowadzić we wszystkich szczegółach. Nomenklaturę obcą uwzględniła przecież już ta sama mapa w wydaniu niemieckiem.

Właściwości języka naszego, nie mówiąc już o innych względach, nie pozwalają przecież na podobne dziwolągi w nazwach, na jakie się może zgodzić język niemiecki. Podam przykłady. Jest kilka Stawów Zielonych w Tatrach, każdy z nich w naszej nomenklaturze będzie się zawsze jednako nazywał: Zielony Staw i dopiero potrzeba określenia bliższego, aby go dokładnie oznaczyć. Tymczasem nomenklatura niemiecka radzi sobie inaczej. Zostawia na Zielony Staw Ważecki (pod Krzywaniem w dolinie Ważeckiej) nazwę słowacką Zeleno pleso, Zielony Staw Kieżmarski nazywa Grüner See, Zielony Staw pod Żelaznemi Wrotami nazywa z polska pisownią słowacką Zeleny Stav, Zielony Staw Gąsienicowy zowie już poprawnie po polsku Zielony Staw.

Albo inny przykład. Dolina Kieżmarska zowie się po niemiecku Weisswasserthal, co przetłomaczone byłoby doliną Białej Wody, kiedy u nas nazywa się tak zupełnie inna dolina.

Zgodzić się więc nasze nazwy nie mogą z niemieckiemi, ale tak muszą brzmieć, jak się u nas mówi.

(Dok. nast.)

Jan Piotr Norblin.

Zupełnie przypadkiem lepiej się jednak przysłużyli polskiemu malarstwu Czartoryscy, niż król Stanisław, który świadomie krzewił je i stworzyć je chciał koło siebie. Sprowadzili Norblina, by ich uczył i dekorował im przybytki. Pracował tedy zrazu mistrz w Powązkach, na Puławach i w Radziwiłłowskim Nieborowie. Kołysały się tam fale jezior, szemrały strumienie, tu i ówdzie wznosiły się ruiny zamków, świątynie klasyczne, gotyckie domki, park osłaniał wieś, w grubych pniach drzew wydrążone były pokoje. Cała atmosfera przepojona była rokokowym duchem. Tam to, po tych gajach, po królewskich Łazienkach obchodzono owe wesołe, igraszkowe i snom, marzeniom podobne fêtes galantes.

Norblin, uczeń Watteau, ze środowiska, stworzonego dziełami Fragonarda, Lancreta, zrazu jeszcze klasyk w stylu Boucher'a, notuje ten ginący świat. Cała radość życia wypowiada się na tych towarzyskich zebraniach i zabawach na otwartem polu, w gaju. Do ogrodu sprowadza się spinet. Smukła dama zasiada, uprzejme panie, znające się na nutach, obracają jej kartki, wtórują jej instrumenty smyczkowe, a towarzystwo — barwne swe, delikatne w kolorze szaty wdzięcznie ułożywszy na murawie, w skupieniu słucha czarującej włoskiej melodji. Na niebie już różowo, łagodny różowy blask oblał wszystko i jakby lekka mgła, jakby zmierzch zatarł kontury ich postaci. Bo też koniec to już sielanki. Te lekko rzucone sny ustępują miejsca szybko, gwałtownie rzucanym szkicom wrzasków Sejmowych, żołnierzy rosyjskich w Warszawie, Suworowa, scen rewolucyjnych po ulicach Warszawy, scen wieszania, kozaków, żebraków, zamiataczy ulic, widowisk, publicznego chłostania nierządnych kobiet, zabaw chłopskich po karczmach. Pospólstwo i uliczna hałastra wdarła się na arenę życia. Całe to nowe życie obejmuje twórczość Norblina, bystrego obserwatora, ironicznego karykaturzysty. Ołówkiem, gęsiem piórem w szybkich szkicach je notuje. Stąd forma jego ulega zaniedbaniu, gdyż jemu chodzi o obserwacje, o notowanie sytuacji i ruchu. A cała jego szkoła rysowników, prymitywów, karykaturzystów, Orłowski, Sokołowski, Oborski, Zabiełło tą właśnie pójdą drogą notowania ruchów, rozszerzania zakresu obserwacji.

Tego zaniedbania nie widać tylko w jego sztychach. Wśród nich są dwa jego własne portrety. W rysunkach pozostawił ich kilka. Trochę uśmiechnięty, pogodny, bystro patrzy przed siebie swojemi ciemnemi oczyma popod dużą głową i czołem. Były w niej przebłyski, wyobrażenia form takich, jakie nasz czas dopiero niedawno stworzył i rozpowszechnił. Na jego sztychowanych, wielkich, historycznych kompozycjach, akcja zawsze się rozgrywa na tle olbrzymiej architektury. A jakkolwiek rozróżnić w niej można romańszczyznę i gotyk i barok, przecież jest ona w swym pomyśle zawsze nawskróś oryginalną. Jak u Ropsa wznoszą się olbrzymie, wysokie cokoły, a na nich wśród oryginalnej ornamentyki biusty, jakie dopiero Klinger wykuł w kamieniu. Również drzewa, jakie wyrył Norblin na



NORBLIN: ŻEBRAK (SZTYCH).

swej „Zuzannie“ nie powstydziłby się Klinger, lub tego małego drzewka, co tak nieznacznie odbija się na ciemnem tle, na owym sztychu, przedstawiającym pustelnika czytającego w księdze, przybranego w szeroką, wspaniałą szatę, stojącego pod olbrzymim baldachimem obok bardzo wygodnego krzesła. Prawda: we wszystkich tych pracach bije odrazu w oczy wpływ Rembrandta. Te same nieraz motywy historyczne, te same motywy światłocieniowe, te same stroje wschodnie, ten sam nieraz układ. Ale jednak jest i wiele samodzielności, przedewszystkiem zaś w obserwacji. Wreszcie: wiele tam jest prawdy w przedstawieniu typów polskiego społeczeństwa — od szlachcica do żyda.

Warto zwrócić uwagę już nie na jego zdolność i swobodę obserwacji i na obserwacje same, ale na jego sposób oddawania niektórych elementów natury. Ciekawem jest np., jak Norblin przedstawia drzewo, ten nieuchwytny, sylwetowy kształt. Zgoła oczywiście inaczej, niż to się dziś czyni. Jego drzewa, są to blade sylwety, o ile nie topole lub wierzby — kształtu najczęściej maczug, a z każdej głównej maczugi rozchodzą się mniej więcej promienisto od dołu ku górze drobniejsze maczugi. Jak kurytarze



NORBLIN: ŻEBRAK (SZTYCH).

kornika-drukarza. A cała ta w ten sposób postrzępiona blada sylweta, jaśniejsza od strony światła, ciemniejsza od strony cienia nosi na sobie dziesiątki i setki plamek ciemniejszych, trochę podługowatych, w dość systematyczne, szablonowe kondygnacje ułożonych, u końca każdej z maczug w łuk przechodzących; a ostatnie łuki znów mają zawsze jaśniejsze i drobniejsze plamki, czasem niezmiernie nikłe, co było wyrazem powiewności drzewa. Temi, nieraz niezmiernie drobnemi kropeczkami, zawsze przy uwzględnianiu modelacji kształtu ogólnego tego ensemblu liści z jakimś przecież systemem na żyjącem drzewie umieszczonych — plamkami umieszczonemi na lekkiej ogólnej sylwecie, zyskiwał puszystość i w tem tkwiło przekształcenie natury rokokowo stylowe. Przesada to wprost wzięta od jego mistrza, bo Watteau najdokładniej tej samej manjery używał przy malowaniu drzew.

Organizacja to tak bogata i ciekawa, że niepodobna jej całej ująć w tak szczupłych ramach, można skreślić parę ledwie cech. Organizacja wrażliwa na wszystko, odnajdująca piękno we wszystkiem, umiejąca się wczuwać w każdy kształt i każdy ruch. I przez to właśnie stał się motorem polskiego malarstwa, jego niemal twórcą. Jak jego mistrz, Holender Watteau, otworzył francuskim malarzom oczy na piękność subtelnej postaci Francuzów i Francuzek i na ich pejzaż — tak znów on, Francuz, otworzył oczy polskim malarzom na polskie życie a tem szczęśliwiej, że zabrał się do tego z metodą realisty Rembrandta. Podczas tedy, gdy średniowieczne cechowe malarstwo wyrosło na wzorach niemieckich — dzisiejsze na romańskich i holenderskich.

Marjan Olszewski.

STEFANJA ŁOZIŃSKA. 5)

O Pietrzku — co był nijaki.

(Dokończenie).

— Poczekaj! narychtuję jo ci odwiecerz! — odgrażała się Kaśka.

A w czas później:

— Cie! jaki mi to!! — krzyczała, wywijając mężowi łyżką pod nosem — zadno gazdynio tako nie je, jak jo skrony dobytku... a co? Pokłębe mom ino z takim niemrokiem... a obśmionie...

— Jee! — sprzeciwiła się matka Pietrzkowa — ostaw mu!... ktoby ci zdolał na tela roboty? Je gdzie taki?... is! — Cichalibyście! obróciła sie, mało to chleba i wy skiełbujecie, a za co?... — Zamilkła stara, bo juści prawda.

— Ono ta nie po bozemu — do się mruknęła.

— Ino jak?... odcięła młoda.

Pietrzek ni razu pojrzał na żonę, u szarej twarzy nic się wyrazem nie odbijało, jeno ogromny tułów, ciężko naprzód schylony nosił na sobie coś gniotącego.

— Choć byw sie uznoiła — choćbyw se palice pourabiała, on nic!! Ani poźry, ani zagada ućciwie... A bez co?... Bo nijaki! wse myślęcy o jakiwś-ta ptoskach... liściu... bajdaw cy jo wiem? plunęła. Jo mu o cielęciu, coby odstawić, a ten o jakisich kumedjach. ozwij-ze sie! — a nie słysząc

skutku, uderzyła męża w twarz łyżką, aże jadło prysnęło na boki.

Bez ruchu przyjął — potem wstał i na środku izby drapać się począł, myśląc: coby tu zaradzić?

Aże mu ono nic nie przychodziło, poczochrał głowę i wyszedł.

A Kaśka w płacz uderzyła...

Schmurzało się u pola i Pietrzek szedł se poprzód, jeszcze ony bezrad u myśli mając. Jużci chałupy posnęły w mroku i żadnego ta zwierza abo człeka nie rozeznałby, przedburzna głuchość sytko stopiła, ciemnością zalała, zdusiła obawą.

Jeno on się nie bojał.

Omackiem i z uporną cierpliwością przeszedł ostatnie granice pól i piąć się począł po rozeznanej instynktem wąskiej ścieżynie, na zębate wierchy lubańsklego podnóża. A ta rozdarło się nad nim niebo i pojedynczym pasem ognistym obiegło czernie.

Nie zważał, jeno szedł wyżej.

Raz wraz śmigały ognie czerwone i po przez ciemnie w krótkich poświetlach wybijały się nagie, przewielkie kształtem góry wiecznego Lubania.

Dojść tam — ciągnęło.

Ono nie łacno.

Z pierwotku tak się widziało, a teraz czeka błyskawicy, by się rozpatrzyć.

Usłużna ona! hej! a bogata w one jasności płomienne, a grzmiące, długie, echami goniące huki... zdobne w szarawe pasy wodnej odzieży — aby przez one chłostać biczami jakiejsi mocy gniewliwej. Wstrząsły sie skale, aże i Pietrzek kucnął pod wyszczerbioną opoką — przemokły, w sobie skupiony.

Nie pierwszyzna mu takie widoki a cnie do nich zawdy. Jakoby z onego huku a drżenia ziemi brał jakieś nazwy, nowe wyśledzał tajniki... jakoby krzyki jękliwe, co sie łamały wzajem w tej burzy, co szumiały słowy — choć rzec je... nie wiedział, jakieby były?....

Jedne się darły rozgłuszenie na wały skrajem strzępiaste — inne cichcem tajały w dolinach a jeszcze inne zrywały czarniawe nieba osłony i rozbijały się trwogą u wsiowych chałup.

Znał też i wycia, długie, smutnawe... padały one w rozłamy skalne zczajone, straszyły głosem nieludzkim, niby strzygonie — o dwójnem sercu, ścigały wiatry, zawodząc pokutnie.

Nic mu to było.

Ale kiej najgoręcej siepały ognie, kie nieustawne gwary w jedno się brały a szumy biły tłumami duszno a długo, jaże do niemocy, wtedy se stawał, wyciągał przed się ogromne dłonie i chwytał deszczowe smugi; abota, jak mu sie zdało, one przegładkie a lśniące węże ogniste i suwał niemi hetki, rozsypując iskry pozłotne.

Na oną radość u czoła wilgły mu włosy sznurami w okół, ociekłe, tężały w zimnie gorąca, co miał u piersi — tak się zabaczył w chorości swojej.....

Nazajutrz szukali ludzie — ba! i ziandary bezedni kilka i nie naleźli. Gziesi ta w skale zalazł — i ostał. Jeszcze niby to Kaśka polabiedziła, zwyczajnie baba, a w rok bezmała przy weselisku taki się zgodziła, jako i inni.

— Nijaki był... jušci ta i nijako pomar!....

Kaj?

Nikt się nie zwiedział.

PRAWDY I WSKAZANIA.

Więcej miłości!

Ludzie, częstokroć dość zdolni, nie wiedzą, co ze zdolnością swą zrobić; bywają dobrymi szermierzami, ale nie mają żadnej sprawy, o którąby mogli walczyć, albo też wolą walczyć o złą sprawę. Ludziom tym brakuje właśnie miłości. Gdyby powszechnie rozumiano i praktykowano naukę wielkiego apostoła: „Płaczcie z tymi, którzy płaczą, weselcie się z tymi, którzy się weselą“, życie każdego z nas byłoby tak bogate współczuciem powszechnem, jak wyobraźnia Szekspira bogatą była w obrazy całego świata. Wszyscy nie możemy być poetami, ale każdy z nas może zadać sobie trud uprawiania owej miłej a płodnej wrażliwości, od której zależy pisanie i ocena utworów poetyckich. Żyć poezją jest zaprawdę czemś lepszem, niźli ją pisać... Otóż, życie poetyczne jest właściwie przeciwieństwem wszelkiego sobkostwa i samolubstwa; skwapliwie chłonie ono dobro i piękno ze wszystkich dziedzin, czyniąc je swojem pożywieniem.

John Stuart Blackie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Sława Pruszyńska: Poezje. Warszawa. Skład gł. w księgarni Jana Fiszera 1906. Fragmenty, nastroje, chwile, nieukojone pragnienia, smutek, ból. To wszystko już było, ale powraca jeszcze raz i u tysiąca poetów powróci tysiąc razy. W miarę sił indywidualnych poety będą te utwory miały większą lub mniejszą wartość. W tomiku p. Pruszyńskiej mają swą wartość bezsprzeczną te wszystkie poezje, w których można rozeznać jej indywidualność kobiecą — poza tem są rzeczy, pisane jużto dla samej koronkowej roboty, już też dla pewnych wrażeń, odniesionych z przeczytanych a nie przeżytych bolów. Wrażliwość wielka, odczucie natury szczere, niestety objawia się ono naprawdę tylko wtedy, gdy poetka niecha sztuczek, refrainów, np. w wierszu pt.

WIOSNA

Niesie z sobą ta marząca
pierwszy złoty promyk słońca,
jasne sny,
niebios cudną toń błękitną
i tak cichą wieść jak łzy:
„Sady kwitną“...
Wiedzie z sobą ta marząca
Miłowanie — niby gońca,
niby raj...
Głos o zcichłą lutnię trąca:
„Pieśń o szczęściu dziś mi graj —
hymn do słońca!“

Obudziła wiosna lutnię —
rozebrzmiała dziwnie smutnie:
niby żal,
niby skarga i pytanie...
Zamroczyło jasną dal
Miłowanie...

W szeregu młodych poetek jest p. Pruszyńska jednym z szczerszych talentów.

Wacław Grubiński: Na Rubieży. Skład w księgarni E. Wende i Sp. w Warszawie 1906. Kraków G. Gebethner i Sp.

„Na Rubieży“ — dramat w dwu odsłonach, „Zacisze“ dramat w jednym akcie. Pierwszy dramat rozgrywa się na tle pojedynku amerykańskiego. Rawicki, będąc w nietrzeźwym stanie, obraził matkę Antoniego. Następuje pojedynek — Antoni wyciąga czarną gałkę: śmierć. A przecież jest tak młody i tak kocha Ankę, tak kocha życie. Do śmierci jednak pcha go i przyjaciel Stefan (zdaje się, kocha Ankę...) Jedna Anka, młoda, miłująca go i kochana, odciąga go od niej i — prawdopodobnie — zwycięża. „Prawdopodobnie“, gdyż autor dyskretnie milczy. A honor? Tak, ale życie, młodość...

Drugi dramat — „Zacisze“. Wstrętna, czuła na grosz małżonka, cichy samotnik mąż, muzyk, i przemysłowiec Kozłowski — luźny trójkąt... Poza trójkątem Hamlet-Robert, który na wszystko patrzy od dzieciństwa, a wreszcie rzuca matce w twarz jej zdradę względem swego męża, a jego ojca. Ojciec i syn odchodzą z domu.

Obydwa dramaty, pisane żywo, nerwowo, sprawnie. Zwłaszcza pierwszy: „Na Rubieży“, w którym są sceny wstrząsające napięciem. Drugi — „Zacisze“, jest już w założeniu trochę banalny, w przeprowadzeniu miejscami zupełnie nieinteresujący. Znać jednak w obydwu duży talent dramatyczny, siłę dla sceny pożądaną.

Fel. Gw.

ZAPISKI.

Cichy artysta. W dniu 25. lipca 1905 r. zmarł w Warszawie prawie nieznany w Galicji artysta-malarz Józef Bozdiech. Pochodził on z rodziny czeskiej. Ur. 20. lutego w r. 1874. w Warszawie, po ukończeniu gimnazjum realnego, wstąpił do prywatnej szkoły Juljana Maszyńskiego, którą przeszedłszy, zaczął samodzielną pracę. Niedługo przed śmiercią wyjechał do Krakowa, gdzie pragnął w zetknięciu się ze sztuką współczesną, wzmocnić swą wiedzę fachową. Choroba piersiowa jednak nie dozwoliła się rozwinąć młodemu artyście i przerwała nić jego skromnego a pracowitego życia. Prace jego zaczęły się ukazywać na wystawie Tow. Zachęty w Warszawie mniej więcej od r. 1894. Były to przeważnie krajobrazy zimowe, posępne, zdradzające duszę przepełnioną bolem wewnętrznym. Charakterystycznem dla niego jest wyemancypowanie się z pod wpływów prądów naówczas przodujących. Od początku malował, jak widział i czuł, w obrazach jego można było rozeznać odrazu naturę szczerą, pozbawioną blagi, temparament, pragnący dążyć ku własnym ideałom. W ciągu ostatnich lat kilku wystawił Bozdiech następujące obrazy: (według H. Piątkowskiego w „Wędrowcu“): Zima, Zagajnik, Wschód księżyca, O Zmroku, Miesiąc grudniowy, Struga w polu, Jesień, Noc księżycowa, Cisza wieczorna, W polu, Kuropatwy, O Zachodzie, Zagroda. Krajobraz jednak był tylko jedną stroną jego działalności — równolegle z nim uprawiał on rodzaj tak ulubiony przed laty, a tak dziś zaniedbany martwej natury. Jako twórca wielkiej ilości obrazków z martwą naturą — przeważnie z owocami, Bozdiech w krótkim czasie znalazł uznanie wśród szerszych mas publiczności,

Jako przyczynek do poznania jego charakteru i jego życiowych ideałów, może służyć niewielka broszura, którą wydał w Warszawie na rok przed śmiercią pt. „Precz z błotem od dzieci“. Jest to głos w obronie maluczkich przeciw gorszącym wpływom otoczenia.

Wykopaliska przedhistoryczne. W letnich miesiącach roku ubiegłego dokonał prof. archeologji dr. Hadaczek cały szereg bardzo interesujących rozkopów ziemnych, z których sprawozdanie krótkie pomieścił w najnowszym zeszycie „Teki konserwatorskiej“. I tak mianowicie w Ilkowicach pow. sokalskim znalazł prof. Hadaczek depozyt, składający się z kilkunastu długich odcisków krzemiennych, koło Jasionowa w pow. brodzkim ślady i cmentarzyska dwu osad przedhistorycznych. Na łanie dworskim koło Białoboków w pow. przeworskim znalazł się dalszy ślad osady z 3—6 w. po Chr., koło wsi Gaci, w tymże samym powiecie, odsłonił dr. Hadaczek cmentarzysko ciałopalne z epoki między 3 a 5 w. po Chr. z ozdobnemi urnami.

We wrześniu r. z. przedsięwziął dr. Hadaczek wykopaliska na grodziszczu, „Pleśniskiem“ zwanem, koło Podhorzec, gdzie odkrył ślady starożytnego grodu, prawdopodobnie drewnianego, a wreszcie w październiku zbadał dokładnie skarb bronzowy, znaleziony koło wsi Maćkówki w pow. przeworskim. Skarb ten składa się z 49 bronzów. Są to mianowicie naszyjniki, bransolety, tarczki okrągłe, szpile i toporki. Skarb ten pochodzi z drugiego tysiąclecia przed Chr. i jest zabytkiem bardzo ważnym dla studjów ówczesnej kultury europejskiej, gdyż zawiera mnóstwo form razem zebranych.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Koperuika 5.